

Historie nieprawdopodobne a prawdziwe*

Cykl – opowiadania różne

2. W pociągu

Jechałam jesienią z Warszawy do Łodzi – był to rok 1945. Pociągi już chodziły mniej więcej według rozkładu. Na przeciw mnie usiadł młody żołnierz w mundurze kościuszkowca, reszta pasażerów same kobiety. Nikt nie wszczynął rozmowy, ale oczy kobiet kierowały się często na chłopaka. Bez specjalnej życzliwości, takie nijakie, obojętne. On podnosił na nas smutne oczy i przyglądał nam się badawczo. Widać było, że cisza w przedziale zaczyna mu ciążyć. W pewnej chwili, jakby sprowokowany naszym milczeniem, odezwał się: “Jak wkroczyliśmy w dawne granice Polski, to kobiety we wsiach i miasteczkach też tak na nas patrzyły, nie raz zamykały się w domach i nawet wody nie chciały nam podać”. I po chwili – “A przecież my tacy sami Polacy, myśmy tak tęsknili do kraju, do swoich. Kto tu pozostał, nawet pod Niemcem, nie może mieć wyobrażenia, co myśmy przeżywali”. Zrobiło mi się nijako. Uśmiechnęłam się do chłopaka zachęcająco. “Proszę niech Pan opowiada dalej”, mówię.

“Wywieźli całą moją rodzinę na Wschód pociągiem towarowym. Rozdzielili nas, potem matka i siostra pojechały gdzie indziej, nas z bratem wieźli dalej i dalej...Po kilku miesiącach załadowali brata, mnie i jeszcze kilkunastu Polaków do ciężarówki i tak pod osłoną brezentu powieźli daleko w tajgę. Po bardzo długiej jeździe kazali wysiadać i ciężarówka odjechała. Była noc, mróz okropny, byliśmy skostniaли z zimna. Dookoła śnieg, pustka, jakieś zarośla. Na szczęście jeden z nas ocalał zapałki. Zgrabiętymi rękami pościągaliśmy jakieś gałęzie, suche mchy i udało się nam rozpałcić ogień. Grzaliśmy ręce i stopy, a mróz kąsał nas w plecy. Tak skuleni, przyciskając się jeden do drugiego dotrwaliśmy do świtu.

Ujrzeliśmy dymy – tam chyba są ludzie, jakieś osiedle. Dowlekliśmy się tam resztką sił. Za koszulę, którą brat ściągnął z grzbietu, dali nam tamtejsi ludzie trochę żywności, soli i pożyczli narzędzia. Wykuliśmy w zmarzlinie kotlinę, która nam służyła za schronienie. Stopniowo z drzew i chrustu wybudowaliśmy szałas. Tubylcy nauczyli nas stawiać sidła na zwierzynę. Już wtedy mieliśmy co jeść. Raz na miesiąc przyjeżdżała ciężarówka przywożąc naftę, zapałki, sól, mydło, itp., i zabierając surowe skórki zwierzęce. Tak się żyło. Aż kiedyś podano bratu rozwiniętą okrywkę od pudełka zapatek – “tu coś jest napisane”, zawołał; rzeczywiście jakaś niesprawna ręka wypisała atramentowym ołówkiem: “Anders formuje armię Polaków. Zgłaszać się do... i podana nazwa miasta.”** Ogarnęła nas gorączka...co robić, jak się tam dostać?! Między nami byli też słabi, wygłodzeni, nie dojdą, mowy nie ma. Zdecydowali: “Ty pójdziesz, jesteś najmłodszy i najsilniejszy, musisz dojść i powiadomić, że tu jesteśmy, że wszyscy chcemy do wojska, że czekamy”. Obliczaliśmy, że do punktu zbiórki jest 400, może 600 km. Wyruszyłem. Szedłem bezdrożami, czasami podłapałem jakiś samochód, po paru tygodniach byłem na miejscu. Niestety spóźniłem się. Przed kilkoma dniami punkt werbunkowy został zwinięty. Co miałem czynić? Wracać? Nie miałem sił. Zresztą, co bym im powiedział?

Czekałem. Była tam garstka starych Polaków, pomagali mi przeżyć. Po długim oczekiwaniu, ogłosili, że Polskie Wojsko wzywa nad Okę. To była armia im. Tadeusza Kościuszki. Brata już nigdy nie zobaczyłem.

W wojsku były same morowe chłopaki. Ćwiczyli nas ostro w wojsku. Nie mogliśmy doczekać się wyruszenia na Niemca. Ale Polska nie przyjęła nas jakeśmy oczekiwali... Front powoli się posuwał. Nasza armia szła na Kraków, potem na Wrocław. Sforsowaliśmy Odrę”.

Nagle przelotny uśmiech rozjaśnił smutną, tragiczną twarz żołnierza. “Prowadziłem czołg”, mówił dalej. Miałem słuchawki na uszach i wciąż słyszałem rozkaz: “W pierod, w pierod, w pierod”, więc waliłem do przodu. Był już późny wieczór, ciemno, śnieg, mróz. Po drodze ani żywego ducha. Wjeżdżamy z miasta** - jest jak wymarłe, wszędzie “ferdunklung”; wtoczyliśmy się na rynek. Patrzę, a tu przed gmachem, chyba to był ratusz, kupa samochodów. Dowódca krzyknął “stać!” Wskoczyli chłopaki. “Zobaczmy, o czym oni tak rajcują w środku”. Wpadamy. Jakiś uzbrojony wachman zastawił nam przejście; szybko go zwinęliśmy i biegniemy dalej. A tu sala wielka, oświetlona, stół, dookoła same mundury – zielone, czarne, musztardowe i wszyscy z hitlerami na rękawach. “Hände hoch”, krzyknął nasz dowódca. Zerwali się jak na komendę, aż się za nie jednym stołek przewrócił. “Obstawić wyjścia!” - brzmiała komenda. Skoczyliśmy do drzwi jak trzeba. “A teraz marsz!”. Wyprowadziliśmy ich na takie wewnętrzne podwórce, ustawiliśmy pod ścianą. Oni byli nie tyle przestraszeni, co osłupiali, patrzyli wybałuszając oczy, nawet nie próbowali szwargotać jeden z drugim. Któryś z chopaków krzyknął : “Za Warszawę!” I przejechaliśmy po nich jedną i drugą serią. “Wycofujemy się!” – padł rozkaz. Wróciliśmy do naszego czołgu. Objechałem cały rynek dookoła i wyjechałem z miasta. Nikt nas nie zatrzymał. Wróciliśmy do jednostki, a dowódcy naszemu dostało się od szefa!”.

Siedziałyśmy zasłuchane, wzruszone. Wszystkie teraz uśmiechałyśmy się do żołnierza. Dojeżdżaliśmy akurat do dworca Łódź Farbryczna. Żołnierz zasalutował i wyskoczył z pociągu. Po chwili zniknął w tłumie podróżnych.

Wiele, wiele lat po tym spotkaniu, czytałam opis walk II Armii Wojska Polskiego i napotkałam się na taki fragment: “Jeden z czołgów z polską załogą wysforował się kilkadziesiąt kilometrów przed linią frontu, wjechał do miasteczka, które nie spodziewało się nieprzyjaciela u swoich bram; żołnierze rozstrzelali przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych obradujących nad organizacją ewakuacji i /.../ powrócili bez strat własnych do macierzystej jednostki”.

A więc młody żołnierz nie kłamał.

Warszawa, 28 II 1987

Maria Jurakowska-Skowronowa

*Pani dr Jurakowska-Skowronowa przekazała mi te historie osobiście. Spotkałyśmy się w Paryżu kilkadziesiąt lat temu i od tego spotkania, aż do Jej odejścia, łączyła nas serdeczna przyjaźń, której owocem była również nasza wieloletnia i obfita

korespondencja. Publikując te historie i wspomnienia spisane przez dr Marię Skowronową, pragnę tą drogą uczcić pamięć Kobiety o wielkim sercu i prawdziwej Patriotki (Anna Klimalanka-Leroux).

**Niestety nazwy miast nie utrwały się w mej pamięci.